DZIEŻY SZKOLNEJ 81



E. DEMOLDER

KWIACIARECZKA

OPRACOWAŁA C. NIEWIADOMSKA

WARSZAWA NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW G. GEBETHNER I SPÓŁKA 1908

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

			Kop.
1.	Konopnicka Marya.	Dym	6
2.	» »	Banasiowa	6
3.	» »	Nasza szkapa	10
4.	» »	Niemczaki	6
5.	Żeromski Stefan.	Siłaczka. — Na pokładzie	8
6.	Prus Bolesław.	Antek	8
7.	» »	Na wakacyach. — Katarynka	8
8.	Orzeszkowa Eliza.	Siteczko. — Czy pamiętasz?	8
9.	» »	Babunia	8
10.	» »	Ogniwa	8
11.	» »	Panna Antonina	8
12.	» »	A... B... C...	8
13.	Sienkiewicz Henryk.	Janko muzykant. — Latarnik	6
14.	» »	Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły	8
15.	» »	Bartek zwycięzca	12
16.	Galle Henryk.	Czytanki polskie I.	30
17.	» »	Czytanki polskie II.	30
18.	Reymont Władysław.	Sąd	6
19.	» »	W porębie. — Przy robocie	8
20.	» »	Tomek Baran	12
21.	» »	Pewnego dnia	8
22.	Junosza Klemens.	Froim. — Zając	8
23.	Kraszewski J. I.	Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu	6
24.	» »	Upiór	10
25.	» »	Z dziennika starego dziada	10
26.	» «	Profesor Milczek — Rejent Wątróbka	6
27.	» »	W oknie. — Nauczyciele sieroty	8
28.	Rzewuski Henryk.	Kazanie konfederackie. — Ksiądz Marek	6
29.	» »	Tadeusz Reyten (z Pam. Soplicy)	6
30.	» »	Sawa — Pan Borowski (z Pam. Soplicy)	10
31.	Sienkiewicz Henryk.	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) I.	10
32.	» »	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) II.	10
33.	» »	Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży)	8
34.	» »	Z puszczy amerykańskiej » »	8
35.	Prus Bolesław.	Kamizelka. — Michałko	8
36.	Dygasiński Ad.	W puszczy.	12
37.	» »	Wilk, psy i ludzie	10
38.	Junosza Klemens.	Wilki. — Wesołego	8
39.	Tetmajer Kaz.	Ksiądz Piotr	6
40.	Gomulicki W.	Chałat	8
41.	Żeromski Stef.	Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy	6
42.	Skarbek F.	Łukasz Stempel	6
43.	» »	Mundur. — Jaszczułt	6
44.	» »	Dwie siostry. — Przewoźnik	6
45.	Wilkoński A.	Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek	6
46.	» »	Gorzkie wspomnienia s odkiej nadziei	8
47.	» »	Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek.	6
48.	Żmichowska N.	Prządki. Ze wspomnień dziecinnego wieku	8
49.	Sienkiewicz H.	Z puszczy Białowieskiej	6
50.	» »	Niewola tatarska	8
51.	» »	Pójdźmy za Nim!	8
52.	Łętowski Jul.	Wawrzyńcowie	8

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 81

E. DEMOLDER

KWIACIARECZKA

OPRACOWAŁA

Z. NIEWIADOMSKA

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Pani Chalumeau, handlarka ryb, co piątek zatrzymuje swój zielony, dwukołowy wózek przed oknami jednej z pierwszorzędnych pracowni krawieckich.

Handlarka już dawno głos zerwała ciężką pracą i odtąd Lucia, czarna, mała, chuda dziewczynka zawsze towarzyszy matce, pomaga, wywołuje towar.

Więc i teraz śpiewa zachrypniętym, piskliwym głosikiem:

— Ryby! Ryby! Świeże, wyborne ryby!

Potem uroczyściej, wolniej:

— Ślimaki! Ślimaki! Ślimaki!

I znów donośniej woła:

— Makrele! Makrele! [1])

Ukośnem spojrzeniem obejmuje złote litery, przymocowane w górze, na balkonie, które głoszą, że »Siostry Guizot« dostarczają sukien i okryć wszystkim szanującym się królewskim dworom.

A wzrok ten rzadko kiedy ją zawodzi, bo po niejakiej chwili rozchylają się ciężkie firanki, i w oknie, w obłoku muślinów i drogich koronek

[1]) Makrela — gatunek ryby.

pojawia się pięknie uczesana głowa jasnej, czy ciemnowłosej panny Guizot. Twarzyczka Luci rozjaśnia się wtedy pogodnym uśmiechem.

Właścicielka bogatego magazynu sprawdza świeżość towaru krótkim rzutem oka i daje wymowny znak ręką. Lucia wie już doskonale, co wyraża. I rzeczywiście w kilka minut później w bramie ukazuje się kucharka z dużym koszem. Waży w powietrzu ryby wprawnym ruchem, ogląda, wącha, patrzy, czy czerwone skrzela. Rybaczka zgadza się na cenę odrazu, — stałym odbiorcom zawsze warto coś odstąpić! Potem zręcznie i szybko sprawia zakupione ryby, i Lucia niesie je na piętro za kucharką, która nie włoży ich przecież do kosza — o! nie — za nic w świecie — przeszedłby tylko »niemiłym« zapachem!

Lucia z radością wbiega po kuchennych schodach. Jak tu inaczej, jak ładnie! Czuje się dumną jeśli na korytarzu przypadkiem minie którą z pracujących; czasem się prześliźnie koło uchylonych drzwi salonów magazynu, zagłębi w nie trwożne, nieśmiałe spojrzenie i ucieka z bijącem sercem. Niekiedy, bardzo rzadko, zaczyna rozmowę z »podręczną«; — większość to przecież dziewczynki w jej wieku. Jak przyjemnie dotykać szeleszczących, jedwabnych materji! Czy tam bardzo pięknie? I pełno ślicznych rzeczy? Wraca potem do ryb z ociąganiem, zwolna. Matka robi jej gorzkie wymówki.

Nic to! Ale magazyn! Jak tam pięknie! Jak musi być przyjemnie pracować w takiem otoczeniu, wśród tylu ślicznych rzeczy! W przeszły piątek rozmawiała o tem pragnieniu z Helenką. Jak

długo trzeba być »podręczną«? Co robić, żeby się tam dostać? Czy może marzyć o takiem niedościgłem szczęściu?

— Matka musiałaby przyjść i sama poprosić te panie — objaśniła z powagą Helenka. — Zresztą, tyś chyba za mała. Masz z 10 lat, nieprawdaż?

— Dwanaście.

— Nie wyglądasz na to — ciągnie »podręczna« z odcieniem wyższości. — Patrz, o pół roku jestem tylko starsza, a sięgasz mi zaledwie do ramienia.

Lucia wspina się na palce.

— A właśnie dostaję ci do ucha — odzywa się tonem tryumfu.

— Pleciesz! Ale to jeszcze niewszystko — mówi Helenka dalej i uśmiecha się napół ironicznie, pół smutno. — Tutaj przychodzić trzeba w kapeluszu, w całej, czystej sukience. Tutaj żadna nie nosi chusteczki na głowie. Z początku posyłanoby cię po igły, nici, śpilki, — lubiłam to nawet, bo jest się prawie ciągle na świeżem powietrzu. Potembyś dopiero przeszła do pracowni. Musiałabyś szyć kieszenie, marszczyć falbany, fastrygować. Wieczorem do podręcznych należy porządek. To już najnudniejsze. A rano na gwałt zbierać porozsypywane śpilki. Młyn prawdziwy! Jednak zarabia się prędko. Ja teraz dostaję dwadzieścia groszy dziennie.

I Lucia odchodzi rozgorączkowana, z zamyślonem czołem.

Raz, na wielkie prośby, Helenka uchyliła trochę drzwi pracowni »spódnic«, — sama uczy się

tutaj — i z dumą patrzy na koleżanki z oddziału »staników«. Lucia nie zapomni nigdy tej uroczystej chwili! Dojrzała tylko jakieś materjały szyte złotem, aksamity, wełny, mieniące się girlandami przepysznych, kolorowych kwiatów, stosy jedwabnych falban, piękne futra. Stoły uginają się pod nieprzebranem mnóstwem owych cudów, barwne materje owijają jakieś posągi bez głowy.

— Manekiny — z dumą objaśnia Helenka.

W pracowni siedzi kilkanaście dziewcząt, tną, pasują, upinają te wszystkie śliczności. Pięknie uczesane, postrojone, zgrabne, Lucia mimowoli dotyka ręką swoich potarganych włosów.

Potem ucieka prędko, — zawstydzona. Ale już teraz nie zazna spokoju! Coś ją tam woła, ciągnie, nęci. Ona wie co, — piękno.

Jeszcze tego wieczora oświadczyła matce, że koniecznie, koniecznie pragnie dostać się do magazynu. Choćby na podręczną.

Ale jak uzyskać zgodę surowego ojca?

— Za pół roku będę zarabiać już dużo pieniędzy, — oznajmia wreszcie z przekonaniem.

Zwyciężyła ostatnie przeszkody.

I nazajutrz, po skończonym targu, zaczęły się przygotowania do wyprawy. Pani Chalumeau włożyła najlepszą swoją czarną suknię, głowę owinęła białą, wełnianą chusteczką, szyję, ręce, ramiona, policzki obficie skrapia wodą kolońską, co pochłania całą zawartość malutkiej flaszeczki. Lucia wysącza ostatnie krople na swoją sukienkę, potem

odrywa z korka wązką różową wstążeczkę i związuje nią misternie ciemny lok nad czołem.

Czuje się niezwykle dumna w czystem, świątecznem odzieniu, w nowych, sznurowanych bucikach, które tak przyjemnie skrzypią za każdem stąpnięciem! Obcasy i skrzydełka wspaniałego kapelusza dodają jej z pewnością więcej, niż pół łokcia wzrostu!

Już wchodzą w bramę i Luci wydaje się nagle, że zapach perfum ulotnił się zupełnie, że ich nie czuć nawet z blizka; zato na schodach rozchodzi się przykry odór ryby. I nie wie, czemu rumieńce jej biją na śniade policzki.

Stają wreszcie przed bogato rzeźbionemi drzwiami. — Proszę nacisnąć guzik — czyta Lucia złote litery z trudnością.

Po chwili drzwi uchylają się prawie bez szmeru, w jasnym przedpokoju stoi strojna panna, z kunsztowną fryzurą, obrzuca przybyłe badawczem spojrzeniem.

— Czego pani sobie życzy? — pyta krótko.

— Chciałabym się dowiedzieć... przyszłam.. czy nie przyjętoby tutaj podręcznej? — szepcze nieśmiało rybaczka.

— Teraz nie. Mamy personel w komplecie.

I wymownym ruchem otwiera rzeźbione podwoje. Nagle w głębi korytarza ukazuje się otyła postać kucharki, niesie srebrną tacę, imbryk, filiżanki.

— Pani Chalumeau? — woła z przyjaznem zdumieniem. — A co was sprowadza?

Strojna panna wydyma pięknie wykrojone

usta i śpiesznie znika w półotwartych drzwiach salonu.

A Lucia odzyskuje pewność siebie i wymowę. Tak pragnie dostać się do magazynu. Takby starała się, jako podręczna!

— Gdybyż pani wstawiła się za mną! prosi gorąco, serdecznie. — Wieczorem mogłabym pomagać, umiem zmywać statki!

— To ci knot zabawny! odzywa się kucharka z uprzejmym uśmiechem. — Podobasz mi się, mała!

— I przyda się z pewnością. Lucia ma tyle gustu — wtrąca pani Chalumeau z głębokiem przeświadczeniem.

— Zaczekajcie trochę – odzywa się wreszcie kucharka. — Sama się rozmówię z panną Pauliną, te wszystkie sroki — i wskazuje na pracownię pogardliwym ruchem — umieją sądzić tylko po wyglądzie. Idźcie najlepiej do kuchni, stamtąd nikt was nie wyprosi, to moje królestwo.

Oddala się z protekcjonalną miną, zwolna.

Powraca tryumfalnie. Jasnowłosa panna Paulina zawsze jej słucha łaskawie. Jakże inaczej wdzięczność wyrazić kucharce? A Marjanna przyrządza pyszne leguminy.

Więc wzywa je do pani. Wchodzą prawie drżące.

W głębi, w prześlicznej czarnej atłasowej sukni, na wysokiem, dębowem krześle z aksamitnem pokryciem, siedzi panna Guizot. Królowa nie może wyglądać wspanialej i majestatyczniej. Chwilę panuje niczem nie zmącona cisza.

— Czy chcesz zostać krawcową? — brzmi nagle łagodne pytanie.

— Tak, pani. Będę pracowała pilnie — odpowiada Lucia wzruszonym, przytłumionym szeptem.

— Zakatarzona? — zwraca się dama do matki.

— Broń Boże, wielmożna pani. Troszkę zachrypnięta — wyjaśnia z niepokojem rybaczka. — To prędko przejdzie, jeśli przestanie głos zrywać. Takbym pragnęła, żeby tu się mogła dostać! O niczem nie myśli, tylko o tej nieszczęsnej pracowni. Nudzi i męczy bez końca, że chce uczyć się »czegoś pięknego«.

Panna Paulina uśmiecha się leciutko, delikatnie.

— Miłe, ciche dziecko — mówi wkońcu. — Przyjmuję cię, chociaż właściwie potrzeba nam większej. Ale pamiętaj, że to zawód trudny, pracować trzeba usilnie.

— Jak się mała nazywa?

— Lucia Chalumeau.

— Zatem w poniedziałek o ósmej — odzywa się dama po krótkim namyśle.

Chwila ciszy. Więc naprawdę, czy je słuch nie myli?

— Zaleca się punktualność, w pracowni trzeba być o ósmej — dorzuca panna Paulina surowszym, urzędowym tonem.

Pozdrawia je pożegnalnym ruchem ręki, i po chwili wysuwają się z pokoju dwie rozpromienione twarze. Za niemi kroczy Marjanna ze szczerem zadowoleniem na pucołowatych, czerwonych po-

liczkach. Zawsze to przyjemnie wyświadczyć komuś przysługę. A tembardziej oddać ją zacnej kobiecie i jednocześnie przyciąć nosa tej nieznośnej sroce, pannie z magazynu, co pozwala sobie wypraszać za drzwi najuczciwszych ludzi!

Pani Chalumeau dziękuje jej w gorących słowach. Nigdy tego nie zapomni!

Przez pozostałe dni tygodnia Lucia przygotowuje się z zapałem do poniedziałkowego święta. Więc naprawdę? Od ósmej rano do ósmej wieczorem! I wszystkie chwile dnia płynąć będą niby złote, i widzieć będzie tylko piękne rzeczy, sama czysta i zawsze porządnie ubrana. A kiedyś, kiedyś, w dalekiej przyszłości, widzi siebie w pięknej sukni, jak sama panna Paulina! Tylko warkocze czarne, tych już nie odmieni!

Uczy się szyć z pośpiechem, gorliwie, żeby jej tam nie wyśmieli. Już obrąbiła pół tuzina chustek, które niedawno dostała od chrzestnej, takiej pani, co ma sklep w halach.

W poniedziałek zerwała się równo ze świtem, nie mogła spać ze wzruszenia! Jak zwykle zapakowała śniadania młodszego rodzeństwa w koszyczki, dziś jeden jeszcze przybywa, jej własny! Świecący, nowy, pleciony z sitowia. Lucia kładzie kromkę chleba, dwie wędzone rybki, ulęgałkę. Potem wsuwa paczkę igieł do kieszeni, stalowy naparstek, wreszcie na długim sznurku u paska zawiesza nożyczki. Zardzewiałe, stare, od niepamiętnych czasów służyły do sprawiania ryb i obcinania knota u lampy. Lucia próbowała oczyścić

je oliwą z piaskiem, ale niewiele pomogło, a teraz ten drobny szczegół psuje całą jej radość.

O wpół do ósmej jest już przed oknami magazynu, i ogarnia ją taka nieśmiałość, że postanawia czekać na Helenkę. Koło niej przechodzą długim sznurem pracownice, prędko, ciągle, bez ustanku. Na zegarze bankowego gmachu bije ósma. Lucia czeka jeszcze, ale już ze łzami w oczach. Wtem na zakręcie ulicy ukazuje się drobna, zadyszana postać, śpieszy, biegnie, jak może najprędzej.

— Spóźniłaś się, Helenko — szepcze z wyrzutem dziewczynka.

— A tobie co do tego?! — odrzuca opryskliwie starsza. — Nie kazałam ci na siebie czekać! Dostaniesz burę na początek — i zupełnie słusznie!

Wpadły bez tchu na schody. Helenka otwiera drzwi z bijącem sercem — i natychmiast rozlega się nielitościwy dzwonek.

— To my — woła drżącym głosem.

Zostawiają kapelusze w ciemnym gabinecie na wieszadłach, koszyczki składają w pokoju przyległym do kuchni.

Marjanna z przerażeniem patrzy na protegowaną.

— Czy wiesz, że gotowi cię wyrzucić? — odzywa się z wymówką.

Ale dziewczęta nikną już w uchylonych podwojach pracowni. Przed lustrem stoi panna »starsza« i surowem spojrzeniem obrzuca podręczne.

— Która godzina? — pyta sucho, groźnie.

— Chora byłam, proszę pani — usprawiedli-

wia się Helenka z błagalnym wyrazem w wystraszonych oczach.

Strojna panna marszczy brwi z widocznem niezadowoleniem.

— Pamiętaj, że zdarza ci się to po raz ostatni — mówi ostrym głosem. — Za następnym pójdziesz do kasy po pensyę.

— Nowa? — zwraca się do Luci, pytająco. — Twoje szczęście. Gdyby tu obecna była kierowniczka — mogłabyś wracać, skąd przyszłaś. Punktualność — albo — do widzenia.

Dwie grube łzy staczają się po śniadych policzkach dziewczynki.

— Zabieraj się do śpilek — odzywa się szeptem Helenka.

Podsuwa jej miseczkę, pełną skrawków i drobnych, błyszczących, punkcików. To śpilki, porozrzucane uprzedniego dnia przez robotnice i dzisiaj zmiecione starannie. Trzeba je nagwałt oczyścić, przebrać.

Lucia ociera ręką wilgotne powieki.

— Płaczesz? - dziwi się najbliższa towarzyszka. — Nie bądźże głupia! Tutaj nie żałują głosu. Prędko się przyzwyczaisz.

Naraz dzwonek dźwięczy dwukrotnem szarpnięciem: wzywają »starszą« do salonu. Poprawia misterną fryzurę i śpiesznie znika za portjerą.

Po kilku dniach Lucia całą duszą pochłania upragnione piękno. Już parę razy przenosiła stosy puszystych koronek. Wieczorem wraca z całą kieszenią niepotrzebnych skrawków i rozkłada je przed ciekawemi oczyma siostrzyczek.

— Z tego ponsowego aksamitu robiłyśmy kostjum dla księżnej — objaśnia z niezwykłą powagą.

— A z białego atłasu ślubną suknię! Z różowej gazy dla dwóch pierwszych druchen.

Dzieci wpatrują się w Lucię, jak w tęczę, wszystko chcą widzieć, dotknąć się wszystkiego,— ostrożnie, z szacunkiem przysuwają różowe noski do połyskujących skrawków, co wyglądają niby zaklęte kwiaty i pachną tak ślicznie.

Czasem i ojciec przyłącza się do tego chóru. Delikatnie próbuje materji spracowanymi palcami. Różowa gaza zastanawia go dzisiaj najwięcej.

— To musi być niemocne i brudzi się z pewnością łatwo, aż dziw, jaki cienki »kamlot« odzywa się, kiwając głową.

Lucia wybucha nagle głośnym śmiechem.

— Ale piękne jak mgła, nieprawdaż — odpowiada poetycznie.

Nigdy nie czuła się taka szczęśliwa. Ale też rzeczywistość przechodzi jej marzenia. Każdego ranka rozwiązuje złote chwasty białych, kartonowych pudeł i wydobywa szeleszczące, barwne materje, obłoki kolorowych, jedwabnych muślinów, zwoje jakichś miękkich tkanin, haftowanych w cudne, delikatne kwiaty, stosy falban, falbanek, drogie pióra, aksamity.

Robotnice ją lubią, bo niemasz drugiej, któraby usłużyła równie chętnie, niemasz takiej, co zręczniej poda pasemko jedwabiu, przytrzyma kokardę, podniesie agrafkę. I nikt lepiej od niej nie potrafi przycinać fiszbinu. Jest nieoceniona. Więc

imię Luci we wszystkich ustach odzywa się przyjaznem echem.

A przecież ma jedną nieprzychylną duszę. To panna Anna, przez którą o mało nie zawarły się przed Lucią drzwi tego zaczarowanego królestwa. Nie może przebaczyć dziecku, że dostało się tutaj pomimo jej woli. Na każdym kroku stara się zaznaczyć swą niechęć.

Pewnej soboty popołudniu, kiedy robotnice pracują gorączkowo, przyczepiając ostatnie falbany, podszycia, ozdoby, i wykończają z pośpiechem zamówione stroje — rozlega się donośny dzwonek telefonu.

— Księżna przybędzie za chwilę do miary!

Żadna nie może położyć roboty, nie wydążą. Jedna Lucia jest wolna. Po chwili wahania »starsza« kładzie na wyciągnięte ręce dziecka powłóczystą, atłasową suknię, przybraną bogato w stare, kosztowne koronki, i każe nieść na piętro. Dziewczynka idzie powoli, z rozjaśnioną twarzą: nigdy jeszcze nie dotykała takich cudów! Otwierają przed nią na rozcież podwoje, i stoi w ogromnym, podłużnym salonie, — od stropów do lśniącej posadzki zwisają wielkie, rzęsiście oświetlone lustra. I nagle cały pokój napełnia się mnóstwem drobnych, czarniawych dziewczynek — z obłokiem jedwabiów i koronek w ręku.

Drzwi skrzypnęły cicho, weszła robotnica, przysłana do miary. To panna Anna. Lekko, bez szmeru, sunie po miękkich dywanach.

Niedbałym ruchem odbiera z rąk Luci przy-

niesioną suknię, rozwija — naraz odrzuca na sofę ze wstrętem.

— Okropność! — woła głośno. — Nieszczęście!

Zwraca się do dziecka z rozgniewaną twarzą.

— Poczekaj!!

Znika w fałdach portjery i po chwili wraca z właścicielkami magazynu. Rozkładają, zwijają atłasy, zatykają nos wyperfumowaną, pachnącą chusteczką.

— Odór ryby! wstrętny odór! Ależ to okropność! Co powie księżna?! Nieszczęście!

Panna Anna otwiera prędko wszystkie okna.

— Zabieraj się, mała! — wybucha młodsza panna Guizot z gniewem. — Zabieraj się i nie waż mi się powrócić tu więcej!

Jasnowłosa panna Paulina już napełnia rozpylacz jakimś przezroczystym płynem z kryształowego flakona i delikatnie skrapia strój kosztowny. W salonie rozchodzi się woń pysznych perfum.

A Lucia już na korytarzu, idzie zwolna, niepewnym, ociężałym krokiem, sama nie wie, kiedy minęła przymknięte drzwi pracowni. Teraz owiewa ją duszne powietrze i chwyta się ręką poręczy, schody się przed nią kręcą, w głowie jej się mąci. Oczy ma suche, nie płacze, boi się zwrócić czyjąś uwagę najlżejszym choćby szmerem, nie chce mieć świadków swego upokorzenia. Na dole waha się przez mgnienie oka. Wrócić po kapelusz i koszyk, czy zostawić wszystko i biedz przez ulicę, jak dawniej, kiedy towar obnosiła z matką?

Nie. Już nigdy nie przestąpi tamtych drzwi okrutnych. Wymyka się z bramy i puszcza się

pędem, ucieka, jakby ją kto gonił. Dopiero za zakrętem zwalnia zadyszana kroku. Poco, do czego się śpieszyć? W skroniach jej huczy, i stara się o niczem nie myśleć. Na rogu stoi obdarty, rozczochrany handlarz i zachwala jakąś wodę, co wywabia plamy. Lucia zatrzymuje się przed nim bezwiednie.

Wreszcie budzi się z odrętwienia, idzie dalej zwolna, niechętnie. Nareszcie majaczy znana kamienica! Ale mieszkanie zamknięte i puste. Na szczęście klucz wisi u stróża.

— Cóż to? Lucia chora? — pyta zdumiony staruszek.

— Głowa mię boli — odpowiada dziewczynka niepewnym, zawstydzonym szeptem.

Zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku, potem popycha drzwi szorstko.

— Ryby czuć — przebiega w mózgu Luci ostrym bólem.

Otwiera okno i do izdebki wpada fala mroźnego powietrza. Dziewczynka wchłania je szybko głęboko, spragnionemi piersiami.

Na schodach rozlegają się głośne, przyśpieszone kroki.

Po chwili drzwi odmykają się z głuchym łoskotem i na progu staje pani Chalumeau z dużym węgorzem w koszyku. Nie mogła go sprzedać, będzie na kolację.

— Lucia! Co tu robisz? — odzywa się gniewnie.

Obrzuca córkę badawczem spojrzeniem, dostrzega ślady łez na twarzy.

— Co się stało? Czyś chora? – pyta już łagodniej.

— Nie... Tylko... wyrzucili mnie — odpowiada dziewczynka, tłumiąc nagle łkanie. — To przez ciebie, matko. Przez ten brudny fartuch, który kazałaś mi włożyć!...

Wybucha nagle płaczem i ucieka.

Uspakaja się dopiero na ulicy. Ale gdzież teraz pójdzie? W którą stronę się obróci? Do matki chrzestnej, co ma sklep spożywczy w halach? Nieraz już dopominała się o pomoc Luci. Tylko tam sprzedają się raki, krewetki — to też pachnie rybą, a woń ta przyprawia ją dzisiaj o mdłości.

Już wie, co uczyni. Pobiegnie do ciotki Ameljí, do tej, co sprzedaje owoce, jarzyny i kwiaty. Ciotka mieszka daleko, ale chyba zdąży tam przed nocą!

Zapuszcza prędko rękę do kieszeni. Sześć groszy. To nawet więcej, niż trzeba na bilet. Więc z pośpiechem biegnie do przystani, czeka krótką chwilkę, potem rozlega się donośny dzwonek.

— Odpływamy — woła właściciel.

Wody wezbrane, niezwykle wysokie, i statek pruje fale z cichym szmerem. W godzinę później Lucia siedzi już w izdebce ciotki i z nieszczęść swoich zwierza się półgłosem. Pani Amelja słucha z głębokiem skupieniem, pobłażliwy uśmiech przewija się po zwiędłych wargach.

— Szalona głowa!

Ale żal jej dziecka i pragnie dopomódz mu z całego serca. Jeżeli chce, wstawi się za nią u Sióstr Guizot?

— Za nic w świecie! — szepcze dziewczynka z przerażeniem.

— Więc cóż chcesz robić? To wracaj do matki. I tak będzie niespokojna.

— Nie! Nie! Nie teraz — prosi Lucia błagalnie. — Ciocia sama pójdzie do matki.

— Czemu? — pyta ciotka łagodnie i gładzi ją po kruczych włosach. — Mnie wcale nie jesteś potrzebna. Nie mam dla ciebie roboty; chyba znajdę ci jakie miejsce, ale nie obiecuję.

Nazajutrz Lucia wybiera się na miasto z krewną. Lecz wszystkie szwaczki w tej dzielnicy odmawiają. Jest za mała, zbyt drobna i wątła, żeby się mogła zająć »gospodarstwem«.

— Chciałabym pomagać cioci — odzywa się dziewczynka wieczorem nieśmiało. — Kwiaty są także piękne.

— Pleciesz, Luciu. Na towar potrzeba pieniędzy. Skąd ich weźmiesz?

— Postaram się, zobaczysz, ciociu!

I nagle przypominają jej się dawne lata. Pamięta, że sprzedawała niegdyś mokrzycę dla ptaszków. Ziele nic nie kosztuje, trochę cierpliwości tylko, schylić się i zbierać pełnemi garściami. Już wie, skąd przyjdą pieniądze.

Wschodzące słońce zastaje ją daleko za miastem, wśród zieleniejących ogrodów, sadów, pomiędzy zagonami jarzyn. Kroczy zwolna, z oczyma utkwionemi w ziemię, kiedy niekiedy pochyla się zwinnym, lekkim ruchem i zrywa szmaragdowe liście. A już z doświadczenia trzyma się płotów, ogrodzeń i murów, pamiętna, że w cieniu ziele wy-

rasta bujniej, obficiej. Potem je związuje w spore pęczki złotą słomą, odrzuca drobne kwiatki, ziarenka niewiele co większe od szpilki. Przeszkadzają tylko, a państwo, którzy hodują kanarki, umieją się poznać na czystej mokrzycy. Wesoło wbiega na podwórka:

— Ziele! Świeże ziele dla ptaszków! — woła donośnym głosikiem. I wszystkie okna, w których wiszą kolorowe klatki, otwierają się prędko, ze wszystkich okien dają znak do wejścia.

Rozprzedaje zapasy z łatwością. Dzieci zapraszają ją przyjaznym ruchem. Blada twarzyczka i smutny, zalękniony wyraz czarnych oczu budzi litość w prostych serduszkach. Czasem dorzucą jej parę groszy więcej. Rośnie majątek dziewczynki.

Na Boże Narodzenie, na Nowy Rok znów posypały się groszaki. Lucia wymyśla nowe dochody.

Już nie wystarcza koszyk, który dawniej z mozołem dźwigała na plecach. Teraz codzień na ręku przewiesza kobiałkę i napełnia ją ziarnem, biszkoptami, przezroczystemi ciastkami, wypiekanemi umyślnie dla ptaszków. Niektóre nawleka na cienki sznureczek, żeby ich nie porwał silniejszy podmuch wiatru. A w koszu na plecach kołyszą się brunatno-złote kiście prosa i zwisają jej u czoła ciężkiem, niedbałem przegięciem. Obrót dzienny wynosi już teraz dwa franki, czasem nawet więcej. Jedna stara przekupka nauczyła Lucię hodować robaczki w zakiśniętej mące. Ulubiony pokarm słowików. Źródło nowego dochodu.

Lekka, łagodna zima mija prędko. Ale z wiosną zmniejszają się zarobki Luci: mokrzycę zastępują teraz świeże listki młodziutkiej sałaty.

— Kto ptaszki lubi, musi kochać kwiaty! — myśli dziewczynka z niewzruszonem przeświadczeniem.

A lasek Meudoński bliziutko. Ciotka Amelja zna na szczęście gajowego i za jej wstawiennictwem Lucia uzyskuje wolny wstęp w upragnione krainy.

I wkrótce ścieżki niedostępne »dla publiczności« stają się najulubieńszemi ustroniami Luci. Bujne mchy szmaragdowe przypominają miękkie aksamity, z których starsza panna Guizot krajała kosztowne zarzutki. Dziewczynka z zachwytem stąpa po wonnym dywanie i nagle przychodzi jej na myśl, że mchy drogo sprzedają się w halach. Więc prędko klęka i odrywa puszyste płaty ostrożnym, delikatnym ruchem. Na ogołoconych miejscach czernieje teraz naga, smutna ziemia, niby wielkie rany, niby groby dla złoto-rudawych wiewiórek, co przyglądają się Luci zdaleka, z ciekawie przekrzywioną główką i zalęknionem, ruchliwem spojrzeniem. Szelest głośniejszy, trzask suchej gałązki — i chronią się błyskawicą na ciemnozielone wierzchołki.

Ale dziewczynka nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. Pieszczotliwie gładzi szmaragdowe, wilgotne, ciepłe aksamity i raz po raz w duchu powtarza z radością, że nigdy nie widziała równie pięknych w halach, w koszach złocistych mandarynek, na podściółce purpurowych, pachnących

apetycznie jabłek. Starannie układa mchy w dużej kobiałce, jedną, drugą i dziesiątą warstwę, już się nie zmieści więcej. Wtem wiatr powiał mocniej i niesie jakiś miły, śliczny, niby znany zapach. Lucia odrzuca z twarzy krucze poplątane loki i gwałtownie wciąga nozdrzami powietrze.

— Co to być może? — szepcze pytająco.

Zrywa się z mchów puszystych, przystaje, biegnie, skręca, niby chart na tropie. — Drzewa rzedną, już pomiędzy bronzowymi pniami przebłyskuje światło, i nagle roztacza się cicha, urocza polanka.

— Fijołki! Prawdziwe fijołki!

Zdumionym wzrokiem obejmuje rozpachnioną łączkę. Na lewo, niby łza czysta, jaśnieje maluchne, nawpół zarosłe sitowiem, jeziorko, ciemnofjoletowe kępy okrążają je szerokim wieńcem, wszędzie ich pełno: przy wodzie, na skraju lasu, na polance, gdzieniegdzie ubielone tylko śnieżną gwiazdą. I bije od nich obłok cudownej wonności, rozpływa się, niknie pomiędzy drzewami. Skarby!

Lucia zbliża się z radosną twarzyczką, schyla, przyklęka i zrywa, zrywa, rwie bez końca. Po kwadransie ma zaledwie jeden pęczek: fijołki to takie nikłe, drobne kwiatki! Nareszcie przybywa druga, spora wiązanka, potem trzecia, czwarta, dziewczynka je otula ciemnozielonymi liśćmi, niby szmaragdami wonne ametysty, związuje delikatnie łykiem. A teraz zagłębia nosek w lekko przegięte kielichy, z rozkoszą pije słodki zapach, nie ma siły oderwać twarzy od aksamitnych płatków. Do-

syć nawąchała się w życiu przykrego odoru zatęchłej albo psującej się ryby, umie ocenić tę woń subtelną.

Teraz nęcą ją blado-różowawe gwiazdki, — to stokrocie. Dawniej widywała często robotnice i młode dziewczęta, jak wróżyły z tych drobnych kwiatków, jak obrywały je, płatek po płatku. I znów zrywa, przycina ostrożnie nożykiem, potem układa lekkie, gustowne wiązanki, tu i owdzie przetykane zielonymi liśćmi, młodą trawką. Z dumą przygląda się swojemu dziełu, w najparadniejszym sklepie nie widziała chyba piękniejszych! Martwe, sztuczne kwiaty, które podziwiała na tiulach bogatych toalet, wydają się jej teraz brzydkie, bez wdzięku. Sprzeda resztę mokrzycy, mchy w halach i umieści się z tem żywem kwieciem na ulicy, gdzie najwięcej magazynów i robotnic. W południe wysypią się z dusznych pracowni długim, nieskończonym sznurem, a Lucia będzie im podawała stokrotki i fijołki. Dziewczęta lubią kwiaty, wszystko rozkupią z pewnością.

Wysuwa się z cieniów lasu i co tchu dąży w kierunku srebrnych fal Sekwany. Co chwila przekłada koszyk na prawą, to na lewą rękę: ciężki, okropnie ciężki! Ale taki śliczny i pachnący!

Ach, nie wróciłaby już do magazynu, kwiaty stokroć piękniejsze! Zostanie kwiaciarką.

W izdebce przy kominie stoi ciotka Amelja i zbiera szumowiny dużą, płaską łyżką. Czoło wypogodzone, oczy jaśnieją jakimś nowym blaskiem. Tak jej dobrze, odkąd mała mieszka przy niej. Szczęście zawitało w jej progi z tą drobną,

bladawą dziewczynką, o lśniących, kruczych kędziorach.

Nagle uchylają się drzwi cichem, jękliwem skrzypnięciem.

— Kapuśniak czuć aż na schodach — woła uradowana Lucia.

— Bo też nie żałowałam słoniny, kochanko — odpowiada ciotka z wesołym uśmiechem.

— Pysznie! Ale sama zjem z pewnością wszystek! Strasznie głodna! Byłam dziś bardzo daleko i taki mam, cirociu, apetyt!!

Zarzuca jej ręce na szyję i całuje oczy, skronie, siwe włosy.

— Spojrzyj, ciociu, co przyniosłam — szepcze, wzrokiem wskazując kobiałkę. — Prawda, jak cudownie pachnie?!

Skrapia wodą fjoletowe kwiecie, potem na stole stawia dwa talerze, dwie szklanki, kładzie dwie łyżki. Ciotka wylewa dymiącą zupę.

Jedzą powoli, rozkoszując się wybornym smakiem.

— Co zrobisz, ciociu, kiedy będziemy bogate? — pyta nagle Lucia i uśmiecha się figlarnie, tajemniczo.

Kobieta kiwa pobłażliwie głową, z rozrzewnieniem patrzy na jasną twarz dziecka.

— Ja nie żartuję, ciociu — ciągnie dziewczynka z zabawną powagą. — Zresztą, przekonasz się sama. — Ach, wtedy wszystko musi być koło nas piękne!

— Wola Boska, Luciu!

— Ale gdzieżtam! Już liczyłam! Przez dwa

lata będę sprzedawała mokrzycę, mchy, winogronowe liście, konwalje, fijołki — to przecież nic nie kosztuje, więc z pewnością zostanę bogata! Kupimy wtedy wózek i co rano toczyć będziemy do hali. No i nie rozstaniemy się nigdy. Ty, ciociu, popychasz wózek, ja układam prześliczne bukiety! Nauczę się, zobaczysz!

Przykłada drobne ręce do rozpalonego czoła, źrenice ma rozszerzone, w oczach przebiegają jej gorące błyski.

— Cudownie będzie wyglądał nasz wózek! — mówi dalej sennym, rozmarzonym głosem. — Wszyscy się zatrzymują, podziwiają, patrzą. A z kosza wychylają główki ponsowe gwoździki, żółte mimozy, pachnące fijołki, blade róże... i mnóstwo, mnóstwo kwiatów, o których nie wiem nawet, jak się nazywają. Stawać będziemy na placu Opery, na jasnych, szerokich ulicach!

— To też nic nie kosztuje — wtrąca żartobliwie ciotka.

— Ciociu! Naprawdę! Zobaczysz, zobaczysz! A za jakie pięć lat, może więcej, założymy własny, malutenki sklepik. Zaopatrzymy go w ładne doniczkowe kwiaty. Są trwalsze, nie umierają tak prędko. Na Boże Narodzenie będziemy sprzedawały ostrokrzew, strojny w czerwone nasionka, i jemiołę z biało-srebrnemi perłami.

— Cóż potem? — pyta kobieta z niedowierzającym uśmiechem.

— Potem? Ano wkońcu otworzymy ogromny magazyn — odpowiada dziewczynka z rozmarzonem dalekiem spojrzeniem. — Skończę wtedy lat

dwadzieścia. Ciocia usiądzie przy kasie w ślicznej, jedwabnej sukni. Ja wolę atłas, jak panna Paulina. Jeszcze nie wierzysz, ciociu? Na wystawie umieścimy te prześliczne kwiaty, co to mają fjoletowe takie dziwne płatki, podobne trochę do skrzydeł motylich.

— Irysy? — podsuwa mimowoli ciotka.

— Gdzieżtam!

— Zawilce?

— Nie! Nie! Nie pamiętam.

Marzec przyniósł nowe radości. Każdego ranka Lucia wybiega na ulicę, obciążona swoim pachnącym towarem, i codzień wraca z pustą zupełnie kobiałką. Robotnice rozchwytują prawie jej wiązanki. Nikt nie potrafi tak zręcznie dobierać kolorów, nikt nie ma równie ładnych bukiecików. I lekka jak ptaszek wraca znów do Meudońskiego lasku.

A kwiecie się zmienia, jak miesiące w roku. W kwietniu Lucia sprzedaje gwoździki polne, różowo-białe anemony, pachnące ślicznie kwiaty bezpłodnej truskawki, owiane świeżym wiosennym powiewem.

Przyszedł maj, pogodny, ciepły, śliczny. Rzucił delikatne koronki na jasną zieleń, okrywającą się pękami kwiatów, przybrał drzewa w słodkie, blade, rozpachnione kępy, wywinął kity bzów liljowych. Tylko się pochylać, rwać, wyciągać ręce. Po lasach zakwitły niepokalane, cudowne konwalje.

Jednego cichego wieczora, kiedy szła przez pole, oświetlone szkarłatnemi smugami chowają-

cego się za bory słońca, wązką miedzą, przewijającą się w zielonem życie, które kołysał i rozchylał lekki podmuch wiatru — ujrzała nagle całe łany chabrów, patrzących szafirową, szeroko rozwartą źrenicą. Wróciła z duszą przepełnioną gorącym błękitem, w nocy śniła ciągle o owym szafirze.

Nazajutrz skoro świt pobiegła do znajomej przekupki barwinku, z błagalną prośbą o protekcję do właściciela zboża, siostrzeńca staruszki. Kobieta lubi to ciche, pracowite dziecko i teraz prowadzi, wstawia się o pozwolenie zrywania polnych kwiatów.

— Dobrze! Dobrze! — zgadza się otyły rolnik. — Możesz pozabierać sobie te nieznośne chwasty, ale powiadam ci, uważaj, bo jeśli mi wydepczesz zboże!

— Nie bójcie się, Jakóbie — broni dziewczynki przekupka. — Sama odpowiadam za nią. Patrz, jaka zwinna. Czysta przepióreczka.

I w kilkanaście minut później Lucia radośnie obejmuje swe nowe królestwo. Powoli się posuwa brzegiem żyta, bławatki rosną tu najgęściej, jakby wybiegały ze zboża spijać ciepłe promienie słoneczne. Potem znika w przepaścistych łanach tak ostrożnie i lekko, że kłosy się nad nią zwieszają, a brózdy tem są prawie dla niej, co i ścieżki.

Kobiałka napełnia się szafirowemi wiązankami chabrów, Lucia oburącz dźwiga jeszcze pęk ogromny, drobna postać przegina się pod tym ciężarem. Szczęściem Sekwana blizko, i blizko dobroczynny statek, co ją zaniesie w zamożne dzielnice.

Bławatki rozchwytano. I odtąd codzień można spotkać czarną kwiaciareczkę, obarczoną chmurą szafirowych kwiatów, które nikną w chciwych palcach robotnic, pensjonarek, dzieci.

Raz przejeżdżający orszak weselny zakupił od niej wszystkie prawie kwiaty.

Nieraz jeszcze spotkało ją podobne szczęście. W parę tygodni później łąki i pola pozłociły jaskrawe barwy gorącego lata. Z traw szmaragdowych wystrzeliły ponsowe maki, jaskółcze dzioby, białe rumianki, żółte jaskry, kaczeńce, różowe powoje drżącem objęciem owijają kłosy. Lucia z zachwytem patrzy na harmonijne barwy, podziwia delikatną grę kolorów. I bezwiednie, nawpół nieświadomie, stara się zakląć ten czar w małe wiązanki: z pod drobnych, zwinnych paluszków powstają prawie arcydzieła. Nigdy nie zmiesza dwóch wrogich kolorów, chyba, że je rozdzielą jasnozłote kłosy dojrzewającego żyta, błękitne oczy niezapominajek, przetkają przejrzyste koronki gwiaździstych rumianków, drżące kiście zielonego owsa, drobne trawy, co ocieniają je złotawym pyłem.

Aż nadszedł dwudziesty czwarty czerwca, uroczysty dzień św. Jana. I znów wiązanki Luci pobiegły w świat szeroki, przystroiły okna magazynów, stoliki kawiarni, drobniejsze sklepy i jatki rzeźników. Rozkupiono wszystkie. Jeden jej tylko pozostał, najdroższy, duży, wspaniały, prześliczny.

Dziewczynka skręca na plac z jasną twarzą, obejmuje przechodniów ruchliwem spojrzeniem. Nagle w oczach zapalają się złociste blaski: przed nią lustrzane szyby ogromnej kwiaciarni. Firma

»Narcize« widnieje ozdobnemi literami na ciemnym, lśniącym szyldzie.

Przejrzyste okna barwią się przepyszną tęczą. W gustownych, wysmukłych wazonach przeginają się aksamitne kielichy storczyków, bladozłote herbaciane róże, fijołki parmeńskie, bzy puszyste i delikatne kiście gorącej mimozy, irysy, janowce hiszpańskie. Z kosztownej mlecznej czary wychylają się niepokalane głowy białych lilji. A wszystkie barwy łączą się w jakąś przecudną harmonję złoto-szkarłatnych płomieni, zórz bladych, fjoletowych zmierzchów i drżą, przelewają się, ślą słodkie zapachy i subtelne wonie.

Twarzyczka Luci bieleje z wielkiego wzruszenia, źrenice rozszerzają się, ogromne, czarne i chłoną przejrzyste bogactwo kolorów i piją niedościgłe cuda. I nagle nieskończona chęć obcowania ze wszystkiem, co piękne, napływa nieprzepartą, wracającą falą. Jakżeby pragnęła módz ustawiać te kwiaty w porcelanowych, lekkich żardinierach, jakżeby chciała przewiązać kity tych bzów śnieżnobiałych smugą jasnozielonych atłasów, i módz podziwiać zblizka te dwie płomiennoczerwone azalje, co skrzą po lewej stronie, niby żywe, żarzące się plamy!

Po długiej chwili ocknęła się nareszcie z odurzenia. Już wie, co zrobi, czuje się dziwnie starsza i zupełnie inna. Waha się jeszcze jedno krótkie mgnienie, potem kładzie drobną rękę na kryształowej klamce.

W sklepie pusto i cicho, niema żywej duszy, dziewczynkę ogarnia lęk, nieśmiałość.

Naraz z poza kotary wysuwa się postać mężczyzny.

— Czego chcesz, dziecko? — pyta łagodnie. Lucia się zdobywa nagle na odwagę.

— Czy mogę się zobaczyć z właścicielem? — odzywa się niepewnym, drżącym głosem.

— Ja nim jestem.

— Panie! — szepcze dziewczynka, podnosząc czarne oczy z niemą prośbą. — Przyszłam pokazać robotę. Sama ułożyłam tę wiązankę.

— Śliczna. I u nas to potrafią.

— Wiem. Nawet jeszcze ładniej — mówi Lucia załęknionym głosem. — Dlatego u pana pragnęłabym się uczyć.

— Nie przyjmujemy uczenic, moje dziecko — tłumaczy zakłopotany właściciel.

— Mój Boże! — wybiega z ust dziewczynki głębokiem westchnieniem.

Pan Narcize patrzy uważnie na drobną, śniadą postać, w której się maluje szczere przygnębienie, i mimowoli na myśl mu przychodzi własna pracowita młodość. Dziś poważany, zamożny kupiec, niegdyś był przecież tylko ogrodniczkiem.

— Biedne maleństwo — szepcze z głęboką litością.

Rozpytuje dziewczynkę o wszystko. Lucia opowiada nieśmiało, trwożliwie. Od ósmego roku życia zajmowała się młodszem rodzeństwem, potem została pomocnicą matki. Zwierza się otwarcie, szczerze, tylko pobyt w pracowni zataja z rumieńcem, — tego nie powie nigdy — musiałaby przecież tłumaczyć, dlaczego ją wydalili. Rodzice

pozwolili wybrać sobie zawód — no, i woli pachnące kwiaty, niźli najpiękniejsze rybie łuski. Z początku sprzedawała mokrzycę i ziele dla ptaszków, potem fijołki, stokroć, coraz inne kwiecie. Ale najgorętszem marzeniem mógdz pracować w sklepie, co posiada takie nieprzebrane skarby, takie piękne!...

Umilkła i kładzie powoli w kobiałkę wiąź polnych kwiatów, swoje arcydzieło. Zabłysły gorącymi kolorami tęczy, zachwiały się wonne kielichy, zadrżały liście traw złocistych, jakby pragnęły wstawić się za bladem dzieckiem z płomiennemi oczyma, i znikły w białych pletniach.

— Nie przyjmujemy uczenic — powtarza właściciel z uśmiechem — ale ty jesteś przecież robotnicą, skoro potrafiłaś ułożyć ten bukiet.

Lucia blednie mocno, powstrzymuje oddech.

— Mogę wziąć cię na kwiaciarkę — kończy z niezwykłą powagą.

Ćmi jej się w oczach, do stóp lecą kwiaty, kwiaty, kwiaty i ścielą się z cichym szmerem...

W kilka dni później za lustrzanemi szybami wystawy zaciemniała drobna twarzyczka w czarnych, jedwabnych kędziorach. Spokojna, usłużna, bez szelestu przesuwa się po taflach sklepu, jest ulubienicą wszystkich. Raz polecono jej ułożyć kosz cudnych jeziorowych astrów, co są niby śnieg spienionej fali, zaklęty w liljowe kielichy. Lucia je przepięła w malownicze węzły, owinęła w puch delikatnych gypsofilów, jakby w obłoki z przejrzystego tiulu, i kosz wyglądał tak ślicznie, że ustawiono go w oknie, na honorowem miejscu.

Tegoż dnia, około czwartej popołudniu zjawił się jakiś pan w sklepie, wybrał kosz białych kwiatów i rzucił na ladę dwie złote monety.

— Proszę odesłać przed szóstą pod wskazanym adresem — objaśnił, wyciągając wizytową kartę.

— Zajmij się tem, Luciu — rozporządza właściciel. — Bukiet dla narzeczonej — dodaje z uśmiechem. — Jest tak ładny, że tobie powierzę ułożenie ślubnego wianka.

Dziesięć lat upłynęło już od owej chwili. Mała kwiaciareczka jest dziś śliczną panną, o czarnych oczach i bogatych splotach kruczych, jedwabistych włosów. Młodsze siostry naśladowały ją w wyborze pracy, i teraz w głębi sklepu ciemnieją ich zręczne sylwetki, wprawnymi palcami łączą purpury gwoździków z popielatemi, drżącemi trawami.

Lucia codzień, już zdaleka, dostrzega tęczowe kolory wystawy, a potem czyta złotawe litery szyldu z rozjaśnionym wzrokiem.

»Narcize et Chalumeau«.

I wchodzi do sklepu ze szczęściem w rozmarzonych oczach.

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

		kop.
1.	**Anczyc Wł. L.** Żółw i Makolągwa, powiastka	6
2.	**Amicis E.** Moi koledzy	10
3.	— Mały patrjota	6
4.	**Chrząszczewska J.** Szare kaczątko. — Duże i Małe	8
5.	— Królestwo grzybów. — Tocia	6
6.	— Bal u pani Żaby — Czarodziejska kukułka	8
*7.	**Andersen H.** Historja roku. — Dziewczynka z zapałkami	6
8.	— Brzydkie kaczątko	6
9.	— Ropucha. — Krasnoludek	6
10.	**Niewiadomska C.** Za póżno	6
11.	— Lat temu 900	6
12.	— Słoneczko. — Na świeżem sianku	6
13.	**Kipling R.** Bracia Mowgłego	6
14.	— Rikki-tikki-tavi	6
15.	**Zaleska M. J.** Obłoczek. — Przygody rodziny Jeżów	5
16.	— Wędrówka Celinki. — Wieszczka okruszyn	6
17.	— Wojtuś. — Michałek. — Podejrzenie	6
18.	**Daudet.** Oblężenie Berlina	6
19.	— Koza ojca Bartłomieja. — Ze wspomnień kuropatwy	6
20.	**Kraszewski J. I.** Królewicz Bolko	5
21.	**Niewiadomska C.** Wnuczka Kazimierza	5
22.	**Sienkiewicz H.** Pod Zbarażem (z pow. «Ogniem i Mieczem»)	12
23.	**Teresa Jadwiga.** Rycerz Błękitny	10
24.	— Słowianie: uroczystości i obrzędy	6
25.	— Bolesław Chrobry	6
26.	**Bukowiecka Z.** Zalew kopalni	6
27.	— Legendy górnicze	6
28.	**Warnkówna J.** Wędrówka kwiatów	5
29.	— Na łące — Amator jajecznicy	6
30.	**Weryhówna M.** Sierota. — Nad Wisłą. — Sikoreczka	5
31.	**Szymanowska Z.** Bez. — Scyzoryk. — Biczyk — Sukienka	6
32.	— Niewidomy. — Kraszanki	5
33.	— Rodzina królików. — Muszka i pająk	5
34.	**Jachowicz St.** Bajki i wiersze (wybór)	8
35.	**Chęciński Jan.** Wybór wierszyków	6
36.	**Niewiadomska C.** Bardzo dawno. — Królestwo skał	5
37.	— Przyjaciółki. — Waluś	6
38.	— Bez przewodnika	8
39.	**Lenartowicz T.** Zachwycenie	4
40.	**Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Janko Cmentarnik	6

BIBLJOTECZKA MŁODŻIEZY SZKOLNEJ.

		kop.
41.	**Gawalewicz M.** Królowa niebios. Legendy o M. Boskiej	10
42.	**Morawska Z.** Koronacja Zygmunta Augusta	6
43.	**Lenartowicz T.** Wybór poezji	8
44.	**Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Wybór poezji	10
45.	**Hoffmanowa Klem.** Wybór powiastek	8
46.	— Dziennik Franciszki Krasińskiej	20
47.	— Listy Elżbiety Rzeczyckiej	15
48.	**Chrząszczewska Jadwiga.** Upał. — Sosna	6
49.	**Krakowowa Paulina.** Wybór powiastek	6
50.	**Andersen H.** Kwiaty Idalki	5
51.	— Coś. — Len	6
52.	— Cień. — Spiewak z pod strzechy	6
53.	**Amicis E.** Na tonącym okręcie. — W szpitalu	6
54.	— Od Apeninów do Andów	8
55.	**Kipling R.** Kot, który chodził własnemi drogami. — Słoniątko	6
56.	— Ankus królewski	6
57.	— Toomai od słoni	6
58.	**Asnyk A.** Wybór poezji	8
59.	**Ujejski K.** Wybór poezji	8
60.	**Anczyc Wł. L.** Daleka podróż dwóch piesków pokojowych	5
61.	— Swierszcz. — Błędne ogniki	5
62.	— Rozbitki na wyspie Jan Mayen	6
63.	**Zaleska M. J.** Cztery prządki. — Robotnicy P. Jakóba	6
64.	— Gwiazdka. — Najlepsza zabawa	5
65.	— Wiewiórka. — Pogrzeb szczura	5
66.	**Teresa Jadwiga.** Stacho	10
67.	— Pogrzeb ostatniego Jagiellona. — Elekcya	6
68.	**Sienkiewicz H.** Pod Grunwaldem. (Ustęp z Krzyżaków)	8
69.	— Zdobycie Kamieńca. (Ustep z Pana Wołodyjowskiego)	6
70.	**Niewiadomska C.** Z życia Mickiewicza	6
71.	— Dotrzymuj słowa. — Koledzy. — Samolub	6
72.	— Noc sierpniowa	6
73.	**Daudet A.** Napad szarańczy	6
74.	**Andersen H.** Królowa śniegu	8
75.	— Matka. — Anioł. — Sosna	6
76.	**Zaleska M. J.** Wesele zięby	6
77.	**Zaleski Józef Bohdan.** Wybór poezji	
78.	**Pol Wincenty.** Pieśń o ziemi naszej	10
79.	**Wasilewski Edmund.** Wybór poezji	6
80.	**Sienkiewicz H.** Jurand ze Spychowa. (Z Krzyżaków)	15